TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 22. *Chicago, Ills., 25 Listopada, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem weszła Marya. Mocne wzruszenie i smutek malował się na jej twarzy. Dała ukłon poszanowania księżnej, a rumieniec pokrył jej lica, gdy się do księcia z ukłonem obróciła; lecz mocne zajęcie się przedmiotem dla którego przybywała, nie dozwoliło jej dostrzedz wymuszonej obojętności i dumy, którą on okazać usiłował. Nie czekając na przemówienie księżnej, zbliżyła się Marya ku niej, i całując rzewnie jej rękę:

— Księżna Pani! ty, która mi tylekroć dałaś dowody nieograniczonej łaski twojej, racz mi dzisiaj przynieść ulgę w ciężkiem strapieniu mojem, i wyjednać łaskę królewską dla poczciwego człowieka, który z mojej przyczyny cierpi.

Tu opowiedziała Marya wiadome zdarzenie, i rozwodziła się nad tem, jak wiele cierpić musi Ruszczyc, że wtedy w więzieniu jest zamknięty, gdy mógłby być użyteczny królowi swemu. Księżna Radziwiłłowa okazała udział w strapie-

niu Maryi, i chęć przyniesienia jej ulgi. Królewicz zaś rzekł z uśmiechem.

— Zbytnia to troskliwość; kto zna czem jest siedzenie w wieży dla szlachcica polskiego, ten wie dobrze, iż mu poniekąd winszować można, że ma sposobność prowadzenia odmiennego życia przez czas na mniemaną karę przeznaczony, i przekonania się, jak wielu posiada przyjaciół, którzy jego więzienie osłodzić i przez zabawy chwile skrócić mu usiłują.

Na te słowa zwróciła Marya zdziwione spojrzenie na księcia, i rzekła z mocą lecz z uszanowaniem razem:

— Rozumiem, iżby mu milej było widzieć tych, którym kiedyś wyświadczył usługę, wywdzięczających mu się za to usilnem staraniem o przywrócenie mu wolności.

— Nie, w samej istocie zbyt to czule bierzesz moja Panno Modrzejowska — rzekła księżna Radziwiłłowa — bo to jest rzecz bardzo zwyczajna, która, zaręczam samego Ruszczyca mało obchodzi.

— Znam ja wielkość obowiązków moich, odpowiedziała smutnie Marya — wiem com winna człowiekowi, który dla mnie życie swoje narażał. Chęć dopełnienia tego obowiązku i pamięć tych łaskawych względów, których od Waszej Książęcej Mości zawsze doznawałem, były mi powodem do tego, iż poważyłam się nieść z ufnością prośbę do Waszej Książęcej Mości o pośrednictwo jej do króla. Lecz teraz o przebaczenie tylko prosić mi wypada za to żem śmiała być natrętną.

— Cenię słuszność twoich powodów — rzekła księżna Radziwiłłowa — i nie chciałabym ci odmówić tego o co prosisz; ale pomnieć winnaś na to, że Ruszczyc obraził Królowę, i że mnie nie wypada prosić za nim, skoro są słuszne powody niechęci ku niemu.

— Nie śmiem naprzykrzać się dłużej księżnej Pani — rzekła skromnie Marya. Lecz — dodała spuszczając oczy na ziemię, i obracając mowę do księcia Jakóba — czyliżby Wasza Książęca Mość nie raczył się wstawić za swoim towarzyszem broni, i za tym wiernym sługą, który zawsze był gotów życie swoje jemu poświęcić.

— Bez wątpienia — odpowiedział nieco zmięszany książę Jakób — mam obowiązki przyjaźni i wdzięczności względem Ruszczyca; powinienbym zapewne starać się o jego uwolnienie, ale....

Przy tem przerwał mowę, jak gdyby nie chciał dalszych powodów przytaczać, a żywe spojrzenie Maryi, która śledczy i zdziwiony wzrok na niego zwróciła, przedłużyło jego milczenie, tak dalece, iż księżna Radziwiłłowa uznała potrzebę dania mu pomocy w jego pomięszaniu i rzekła:

— I królewiczowi nie wypada sprzeciwiać się woli matki, i narażać się na jakie wyrzuty z jej strony, zwłaszcza dla rzeczy tak małej wagi.

Żywy rumieniec okrył lica Maryi; wstyd i żal ścisnął razem serce; oziębłość i niewdzięczność królewicza silne na umyśle czyniły wrażenie; pomięszanie jej było wielkie; czuła walkę najsmutniejszych uczuć w sercu, i obawiała się okazać na jaw co się w niem działo. Dla tego zebrała wszystkie siły, skłoniła się z poszanowaniem księżnie, z daleka nieśmiały dała ukłon królewiczowi, który obojętnie przez okno wyglądał, i w milczeniu odeszła.

ROZDZIAŁ XX.

Dziś go jeszcze niezdolnym podłości sądziłam;
Co mówię?... dziś.... przed chwilą.... jak bóstwo go czciłam.
A on, niestety! ludziom podobny jest innym!
Jakżebym rada sama znaleść go mniej winnym!
. . . .
O przyjaźni! miłości! nie ma was na świecie!
Wy lube sny mej duszy na zawsze nikniecie!

Feliński w Barbarze.

Z najsmutniejszem wrażeniem na umyśle wracała Marya do swojego mieszkania, i mijała wszystkich szybko jak gdyby chciała jak najprędzej wrócić do samotności, zamknąć się przed wszystkimi z własnem tylko sumieniem i doświadczyć bolesnego ciosu zawiedzionego oczekiwania. Przechodząc koło zamku królewskiego usłyszała jakiś krzyk mocny, tak silny że zdołał przerwać jej dumanie, a zwróciwszy oczy

w miejsce zkąd pochodził, spostrzegła drabantów dworskich passujących się z człowiekiem, który im się silnie opierał. Zapytawszy się przechodzącego dworzanina, coby się to znaczyło? otrzymała w odpowiedzi, że to był jakiś człowiek podejrzany, który się chciał wedrzeć gwałtem do zamku, a którego marszałek wychłostać i z miasta wypędzić zalecił. Nie badała go więcej Marya, bo była nawykła do powieści o podobnych sprawach marszałkowskich. Gdy wróciła do mieszkania dam dworskich, dowiedziała się od towarzyszek swoich, iż ochmistrzyni dworu dwa razy już po nię przysyłała, i że kazała jej powiedzieć, iż z rozkazu królowej ma się natychmiast przed nią stawić. Nader był przykry dla Maryi ten rozkaz, nie dla tego, ażeby w niej jaką miał wzbudzać obawę, lecz że właśnie dla niej samotność najmocniej upragnioną była. Z niechęcią udała się przeto do Pani de Feud'herbe, która zerwała się żywo z miejsca za jej przybyciem, spojrzała się na nią z wyrazem ucieszonej złości, mającej właśnie przed sobą przedmiot swego prześladowania, a przywitawszy ją dumnie, usiadła i milcząc krzesło do zajęcia miejsca Maryi wskazała, poczem rzekła:

— Wać Panna chciałaś ułatwić wejście do zamku królewskiego podejrzanemu człowiekowi, który ze zbrodniczemi zepewne zamiarami chciał się koniecznie dostać do króla.

— Nie rozumiem tego zarzutu, odpowiedziała zdziwiona Marya — o jakim Pani podejrzanym człowieku mówisz?

— Bardzo dobrze — odparła ochmistrzyni, poprawiając się na miejscu; — czelność i przytomność Wać Panny jest wielka, gdy idzie o zaprzeczenie nader jawnego już czynu.

— Proszę miarkować swoje wyrazy — rzekła żywo, wstając z miejsca Marya; doświadczenie i wiek Pani powinien ją był nauczyć rozróżnić na pierwszy rzut oka zadumienie niewinności od zuchwałości występku; a żyjąc od tak dawna między nami powinnabyś wiedzieć o tem, że my błądzim niekiedy zbytkiem otwartości, lecz obłudą uczuć naszych pokryć nie umiemy.

— Schowaj Wać Panna te niewczesne rady dla tych, którym będziesz miała prawo je dawać kiedyś — odpowiedziała z gniewem ochmistrzyni; — czce słowa i zuchwałość nie mogą służyć za usprawiedliwienie nagannego postępku, jakiegoś się Wać Panna dopuściła.

— Gdybyś Pani nie była mnie w imieniu królowej żądała — rzekła z mocą Marya, — powinnabym teraz milczeć i gardzić potwarzą, lecz gdy tu idzie o spełnienie woli Jej Królewskiej Mości, znosić muszę bolesne Jej wyrzuty, i prosić przynajmniej o rychłe wyjawienie mej winy.

— Czy Wać Panna nie znałaś tego człowieka, który przed godziną chciał się nawet gwałtownym sposobem dostać do króla, i którego w dziedzińcach zamkowych schwytano?

— Z daleka słyszałam zgiełk i dowiedziałam się, iż jakiegoś człowieka wypędzano, ale dotąd nie wiem coby to znaczyć mogło, i nic o nim nie słyszałam.

— Nie słyszałaś Wać Panna nic o nim — zapytała złośliwym uśmiechem Pani de Feud'herbe; — a cóżto był za jeden ów niby nieznany jeździec, którego się niby przypadkiem na spacerze spotkało i do zamku wprowadziło?

— O, co ten człowiek — rzekła spokojnie z uśmiechem Marya, — o którym pani tak dobrze uwiadomioną jesteś, ten w nikim, zaręczam, żadnego podejrzenia wzbudzić i bez wątpienia żadnych złych zamiarów nigdy mieć nie mógł.

— A jednak jestto ten sam — odpowiedziała żywo Pani de Feud,herbe, — który się gwałtem do zamku wdzierał, i który zapewne nie od przyjaciół królewskich i nie w godziwym zamiarze nasłany został.

— Pani krzywdzisz naród cały — rzekła z uniesieniem Marya — jeżeli śmiesz przypuścić tę myśl nawet, że jest taki Polak, któryby przeciwko bohaterowi chrześciaństwa zbrodnicze mógł knować zamachy.

— Bez tych próżnych wykrzykników — odparła ochmistrzyni — odpowiedz Wać Panna wprost na to, o co się pytam. Czy znałaś Wać Panna tego człowieka? czyś ułatwiała mu przystęp do gmachów królewskich?

— Znam go — rzekła spokojnie Marya, — i widząc że ma słuszną prośbę do łaskawego monarchy, ułatwiłam mu przystęp do tych progów, od których zwykle nieszczęśliwy lub uciśniony bez pomocy lub sprawiedliwości nie odstępuje.

— Czyliś Wać Panna nie miała jeszcze innych pobudek do tego postępku?

— O, miałam tak silne nawet pobudki do popierania prośby jego, iż postanowiłam upaść

sama do nóg królewskich, aby mu łaskę królewską wyjednać.

— Wiemy o tem wszystkiem — rzekła z przyciskiem P. de Feud'herbe, — ale i Wać Panna powinnaś była wiedzieć, że dobrze wychowanej damie nie przystoi zajmować się intrygami, a nadewszystko to jej powinno było być wiadomem, że królowa Pani nie cierpi tego, ażeby którakolwiek dama dworska miała się mięszać do spraw pospolitych.

— Znam ja dobrze obowiązki moje — odpowiedziała z godnością Marya — Znam dostatecznie granice skromności, która poświęcenia jakiegoś od nas wymaga. Odkądżeto jest nieprzystojnością lub występkiem wstawiać się za uciśnionym, błagać łaski królewskiej za prześladowanym?

— Jakkolwiek się Wać Pannie zdaje, że znasz swoje obowiązki i żeś nic złego nie popełniła — rzekła dumnie ochmistrzyni, powstając z miejsca — oświadczam jej wszelakoż z najwyższego polecenia: że królowa Pani jest jak najmocniej przeciwko Niej zagniewana, i że po raz ostatni daruje jej ten występek; jeżeli zaś kiedykolwiek spostrzeżone zostanie jakie porozumienie się Wać Panny z osobami u dworu źle widzianemi, jeżeli się kiedy poważysz zanosić jaką prośbę bezpośrednio do króla, natenczas ze dworu oddaloną zostaniesz. To rzekłszy, zostawiła Maryą i oddaliła się do drugiego pokoju.

To tak nieprzyjemne zajście z osobą, która zawsze niechętną była ku Maryi, a bardziej jeszcze niesprawiedliwe posądzenie królowej i wyraźnie okazana chęć prześladowania, oburzyły Maryą i wzmogły nieprzyjemność uczuć, któremi zajęta była. W tym bolesnym stanie duszy szukać musiała samotności, i zbywszy obojętną odpowiedzią za powrotem swoim badające ją towarzyszki, zamknęła się w własnym pokoju, aby uniknąć wszelkiego natręctwa.

Zbyt wiele różnych bardzo uczuć miotało jej sercem, ażeby sobie z razu sprawę z nich zdać mogła. Zawiedzenie jej nadziei przyniesienia pomocy temu, który do jej wdzięczności tak wielkie miał prawo; odmówienie sobie tejże pomocy i zupełna obojętność ze strony królewicza na los swego towarzysza broni, któremu ocalenie z niebezpieczeństwa tylekroć był winien; wyraźna nienawiść królowej; dostrzeżenie, iż między jej towarzyszkami musi się znajdować osoba jej zaufania niegodna, która przeciw niej zeznanie jakieś uczyniła; przekonanie, iż nie ma przyjaciół u dworu: wszystko to przerażało umysł i najboleśniejsze wzbudzało uczucia. Długo milczała; usta drżały zapowiadając nastąpić mające większe rozrzewnienie; łzy zasnuły powieki, patrzała przed siebie, żadnych nie rozpoznając przedmiotów, i mimowolnie, jakby odgłos wewnętrznego czucia wyrzekła pocichu te dwa wyrazy:

— Niewdzięczny! nieczuły!

Płacz rzewny nastąpił po tem osłupieniu i żal tłumiony w głośnych odezwał się jękach, niosąc przez to ulgę wewnętrznemu strapieniu. W tem rozżaleniu bardziej jak kiedykolwiek uznała jak smutnem było położenie sieroty nie mającej przy sobie ręki przyjacielskiej, któraby jej łzy otarła; opuszczona, sama sobie zostawiona, musiała czekać tej chwili, w której przywrócona przytomność umysłu właściwe położenie rzeczy ocenić i środki zaradcze przedsięwziąść pozwalała. Gdy ta pożądana chwila nastąpiła, głos sumienia ostrzegł dopiero, co najgłówniejszą jej ciężkiego strapienia było przyczyną. Bo gdy zdołała utulić płacz rzewny, nie stanął jej na myśli Ruszczyc w więzieniu zamknięty, ani dumna ochmistrzyni niesłuszne czyniąca jej wyrzuty, lecz ten królewicz, który obojętnie najsilniejszą jej prośbę przyjął, który nie chciał jej zadosyć uczynić, nad którym ona żadnej już nie miała mocy, który nawet nie spojrzał na nię, gdy ona mieszkanie księżnej Radziwiłłowej opuszczała. Obraz jego całą myśl zajął, a surowe sumienie wkrótce jej za winę to wyłączne nim zajęcie się poczytało. Jakkolwiek uznawała słuszność wyrzutów sumienia, długo wszelakoż nie zdołała oprzeć się słabości własnej.

— Może on nie śmiał przy ciotce swojej wynurzyć życzliwego czucia.... dla czegóż? wszak tu nie szło o mnie..... Może wzbudziłam zazdrość w sercu jego, zajmując się tak żywo losem Ruszczyca? Nie, na jego twarzy nie było wyrazu zazdrości, na niej się zimna obojętność malowała. Może przemogła nad szlachetnem wzruszeniem obawa gniewu macierzyńskiego?... lecz możesz to być pobudką dostateczną do zaniechania najświętszych obowiązków wdzięczności? jakażto słabość umysłu, kiedy dla uniknienia własnej nieprzyjemności cudze poświęcamy dobro? Może jeszcze uzna błąd swój,

może mimo oczekiwania spełni moje życzenia?

Tak sobie dumała Marya, a przy tej ostatniej myśli westchnęła głęboko i tęskny wzrok ku drzwiom zwróciła, jakby jeszcze oczekiwała zwiastowania pocieszającej jakiej nowiny. Po chwili marzeń nastąpiło wspomnienie najpamiętniejszych zdarzeń pożycia, które ją nadzieją posiadania serca królewicza łudziły. To go widziała wjeżdżającego na czele zwycięzkich hufców, którym pod Wiedniem przywodził; wtenczas zapowiadał bohatera, godnego następcę obrońcy chrześcian; to go widziała w stroju polskim czyniącego zadosyć jej woli i zapowiadającego czciciela zwyczajów narodowych. Następnie przypomniała sobie, jak się ujmował za Ruszczycem, gdy cudzoziemiec z jego oziębłości szydził; wtenczas zapowiadał jej monarchę, który zalety wiernych sług swoich cenić i cnotę nagradzać potrafi. Dalej widziała go wznoszącego błagalne oko do ojca, chcąc wstrzymać wypuszczenie tej strzały, która jej samej niebezpieczeństwem groziła. Któżby był wątpił wówczas, że to będzie tkliwy kochanek umiejący dzielić najsłodsze jej serca uczucia! Lecz nakoniec gdy doszła do tej chwili, która jej smutku była przyczyną, jakże znikały do razu wszystkie te nadzieje? jakże przykry, jak rażący był obraz, który miała przed sobą? Kto dla przyjaciela nie śmie się poświęcić, ani nawet na niejaką narazić się nieprzyjemność, ten bohaterem nigdy nie będzie. Kto z obojętnością słyszy o uwięzieniu zasłużonego wojownika i wiernego sługi królewskiego, ten nie potrafi cenić ludzi według ich wartości. Kogo łzy niewieście, łzy osoby niegdyś ulubionej wzruszyć nie zdołają, ten nigdy nie kochał i zwodził tylko pozorem chwilowego upodobania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

JAN PŁUŻEK.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

NAPISAŁ

MIECZYSŁAW Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Tak został teraz Bolesław uspokojonym ze strony Zbigniewa; lecz w rok potem 1117 nowe powstały bunty, gdyż wojewoda Skarbimir i Światopełk ustanowiony przez Bolesława rządzcą Pomeranii, zapragnęli zostać królami i podnieśli bunt przeciw Polsce. Natychmiast wyruszył Bolesław z na prędce zebranem wojskiem, pojmał Skarbimira i w więzieniu osadził. Następnie ruszył przeciw Swiatopełkowi, lecz z tym już szło trudniej. I dopiero po czterech latach uporczy-

wej wojny zaprowadził Bolesław porządek i dumnego Światopełka uwięził. Lecz nie na tem był koniec wojny.

Bolesław raz wydobywszy oręż z pochwy nie rychlej chciał spocząć, aż buntowników zupełnie uspokoi. Wiedząc zaś, że Światopełka wspierał król Obotrytów, Henryk, poszedł z swym wojskiem ukarać go. Zabrał mu Rugię i kraj między Odrą a Elbą, a że w ziemiach tych mieszkali jeszcze po większej części poganie, wysłał do nich Bolesław biskupa Ottona, aby się starał nawrócić ich na religię chrześciańską. Takim sposobem wojna ta w końcu przyniosła Polsce i kościołowi chrześciańskiemu korzyść.

Zaledwie Bolesław skończył tę wojnę, już go w inną stronę wzywano na pomoc. Książęta ruscy już od roku 1118 zaczęli się między sobą kłócić, a w skutek tej waśni książę kijowski Włodzimierz wypędził księcia Jarosława. Nieszczęśliwy, pokrzywdzony Jarosław udał się do Polski, prosząc Bolesława o pomoc. — Już to zawsze tak było, że w biedzie wszyscy się do Polski udawali: książęta ruscy, i niemieccy królowie, cesarze, Duńczycy, Czesi i Węgrzy, a Polacy wszystkim pomagali, lecz sami od nikogo prócz Pana Boga nigdy pomocy nie otrzymali; tak się im odwdzięczano. Lecz dość! Bolesław zdobył Kijow i ład między Rusinami zaprowadził, lubo ten, o którego Bolesław wojnę tę rozpoczął, — książe Jarosław w bitwie zginął. Z wyprawy tej niezmierne bogactwa przywieźli Polacy, zdobywszy obóz nieprzyjacielski roku 1125; zresztą jednak nic dobrego wojna ta Polsce nie przyniosła.

Co się dalej jeszcze stało za czasów panowania Bolesława Krzywoustego, zobaczymy później, teraz zobaczmy co Janek przez te długie lata robił, jak mu się powodziło.

IV.

W chacie Jankowej.

Piętnasty rok już mijał od powrotu Janka i jego towarzyszy z wojny niemieckiej — piętnaście lat to kawał czasu. Wiele się odmieniło w całej wiosce, nie jednę przyjemną chwilę zesłał Pan Bóg w dom Janka, nie jedno strapienie zawisło nad jego chatą. Zwyczajna to kolej w życiu ludzkiem!

Zrazu po powrocie dobrze mu się powodziło, starczyło chleba na wyżywienie całej rodziny, która prawie rok rocznie się powiększała. Zgoda i miłość osładzały kęs czarnego chleba. Oj! bo zgoda to już święta panowała w chacie Jankowej. Wszystko u niego szło swoim ładem, a dzieci przyzwyczajone do pracy krzątały się jak mogły, by rodzicom dopomódz. Najstarszy syn Stanisław, któregośmy poznali w kołysce, pasa już bydło na wygonie, a Jagna, najstarsze dziewczę ładnie już przędła biały len na kołowrotku, utrzymywała w chacie porządek. Codziennie chatę wymiotła, okna wyczyściła, wypłukała gliniane naczynia, pomyła, ogrodek warzywny wypełła z zielska. Miła to była dziewczynka, pracowita jak mrówka, porządna, pobożna, wesoła, a przy pracy tak sobie śpiewała:

Dziewczyna jestem uboga,
Jednak w świecie mnie nie trwoga,
Bo pracować umiem szczerze,
W pomoc Bozką zawsze wierzę.
Gdy zmówię pacierz od rana,
Zniosę do stajenki siana,
W oborze krówki wydoję,
A u nas jest krówek dwoje;
I ugotuję śniadanie,
Bo tatuś pracuje na nie,
Wraz na pole mu zaniosę,
Tak ranek przejdzie po trosze;
A na polu od tatuli
Przyniosę jadło matuli,
Potem bratu, bo nad wodą
Gąski pasie, lub jest z trzodą.
Skoro wszystkich już nasycę,
Dzbanuszek w ręce pochwycę,
Świeżej wody w dom naniosę,
Suchych drewek też po trosze,
By objad przy czem uwarzyć,
Swiniom osucie rozparzyć.
Jeszcze nim objad zgotuję,
Młodszą siostrę ucałuję,
I przeżegnam znakiem krzyża,
Ucząc ją części pacierza.
A ubrawszy dam zabawki,
Czy obrazek, czy dwie trawki,
Byle dziecko nie płakało,

W robocie nie przeszkadzało.
Potem na dobrą ochotę
Lnu nie jedno pasmo splotę;
Tak przy pracy dzionek minie,
Jak gdyby dzionek w godzinie,
Lecz bez pracy to nudota,
Wtedy dojmie ci tęsknota.
Więc pracuję zawsze szczerze,
W pomoc Bozką silnie wierzę.

Wszyscy też w domu Janka musieli pracować, a próżniaków nie cierpiał pracowity wieśniak. Chętnie się dzielił ostatnim kęsem chleba z biednym kaleką, lecz nie dał ani szeląga zdrowemu, młodemu żebrakowi. Wiedzieli oni o tem i omijali chatę Janka. Jeden tylko żebrak corocznie odwiedzał chatę jego i przez całą zimę gościł. Żebrakiem tym był kruk. Przypominano sobie, że Janek wychodząc na wojnę, pojechał był do lasu po drzewo i przy tej sposobności wybrał młodego kruka z gniazda. Hanusia wychowała młodego kruczka podczas niebytności męża, oswoiła i puściła na wolność. Nie dziw, że biedne ptaszę użyło wolności przez lato, ale na zimę wróciło pod strzechę, pod którą wzrosło. Tak corocznie kruk na lato gnał w zielone lasy, a na zimę wracał do domu Jankowego. Co to za radość była zawsze w chacie z powrotu kruka. Dzieci nie mogąc się doczekać powrotu, zadawały sobie pytania: czyli tak sztywno jeszcze chodzi? czy znajdzie swój ulubiony kącik na przypiecku? czy znowu będzie siadał matce na głowie? czy pogoni za kotem? czy podrapie się lewą nogą po głowie? itp. A cóż to dopiero była za radość między dziatwą, gdy wracający kruk zapukał do okienka. Jakże gwarno było w izbie? każdy opowiadał gościowi, co się w domu stało przez lato. Hanusia pokazywała nowonarodzonego przybysza, dzieci opowiadały o chrzcinach, o żniwach minionych, nic przed nim nie zataiły; a kruk nadstawiał poważnie dzióba jak gdyby udawał że rozumie — raz po raz kraknął, jakby mówił: „tak! tak"!

Posłuchajmy co dzieci opowiadały krukowi w szóstym roku po powrocie Janka z wojny:

— Macioś, patrz, — mówiła Jagna, — Pan Jezus dał nam siostrzyczkę! nas już teraz czworo: Stach, ja, Michałek i Kasia.

— A wiesz, — przerwał Stanisław, — ja już teraz gęsi nie pasę, ale świnki — za rok, mówił tatuś, będę pasł woły, a skoro podrosnę, będę razem z ojcem w roli pracował.

— Ja zaś, — mówiła Jagna, — za rok będę umiała gotować, a już teraz umiem ognia skrzesać, zapalić na kominku.

— Powiedzcież mu dzieci, — rzekł stary dziadunio, ojciec Janka, — o żniwach i o chrzcinach — niech się o wszystkiem dowie nasz przyjaciel.

Zaczęły się tedy opowiadania, ile mendeli białego żyta ojciec sprzątnął do stodółki, ile fur siana zwiozły bure wołki, ile cieląt przybyło, ile kop gruszek było w sadzie — słowem o wszystkiem opowiadały dzieci, a dziadunio trzymając na kolanach Michałka dopomagał im, przypominał.

Tak rok za rokiem mijał w chatce Jankowej. Spokojnie schodziły dni szczęścia, aż jakoś w jednastym roku, Bóg ich nawiedził strapieniem. W jesieni, gdy pokrzywy już kwitnąć poczęły, ojciec Janka nagle zasłabł i w krótce zasnął na wieki, błogosławiąc dzieciom i wnukom. Było to od lat wielu pierwsze strapienie. Hanusia, żona Janka, serdecznie płakała po ojcu mężowskim, bo i własnego nie mogłaby żadna córka bardziej kochać; — dzieci tęskniły za dziaduniem, co im zawsze tak ładne opowiadał historyjki, co im strugał baciki i cacka, co je tak kochał. To też gdy kruk z początkiem zimy zapukał do okna, ileż to było płaczu i skarg w chacie Jankowej! Biedny ptak dotychczas witany zawsze z radością, nie pojmował zrazu co to znaczy, krakał i krakał oglądając się na wszystkie strony. Po kilku godzinach uspokoili się wszyscy, ale przez całą zimę musiał kruczek słuchać żalów i skarg całej rodziny.

Od tego czasu corocznie nowa znalazła się przyczyna do smutku, jedno strapienie nastąpiło po drugiem; co raz to cięższe nieszczęście zawisło nad chatą naszego Janka. W roku następnym, krótko przed żniwami, wszystkie zabudowania, prócz domu mieszkalnego zgorzały i nie było już czasu zbudować stodółki bo inaczej niż dzisiaj budowano owemi czasy. — Ułożone w stóg żyto przemokło, zbutwiało, a tak mimo urodzaju ledwie starczyło na chleb na rok przyszły i na zasiew. Gorzej jeszcze było w następującym roku. Podobało się Panu Bogu zesłać na Polskę posuchę; — zboże nim się w kłos zawiązało, uschło, spalona skwarem niwa nie wydała owoców — głód rozpostarł swe pano-

wanie. Ci co mieli zapasy z lat przyszlych łatwo przeżyli smutny rok, lecz nasz Janek nie mógł w ostatnim roku już starczyć, zapożyczył się u sąsiadów, a teraz cóż miał począć? Dzieci wołały chleba; żona poczciwa, pracowita Hanusia zasłabła; on sam głód cierpiał. Pukał do drzwi sąsiadów; lecz ci sami mało mając, nie mogli mu wiele dopomódz. Bieda do tego już doszła stopnia, że ludzie korę odrywali z drzew, wyszukiwali korzonki roślin na pożywienie. Lecz strawa taka nie posila, wielu też umarło z głodu. I nasz Janek pochował wtedy najmłodszego chłopczyka, śliczne dziecko; a żona mocniej zachorowała. Bieda do najwyższego już doszła stopnia; na dworze mróz, a w chacie głód i choroba. Kruk jak zwykle przybył do chaty, lecz widząc, że mu nie dają dosyć żeru, odleciał i tylko kilka razy zajrzał. Raz chciał go Płużek już zabić, by dzieciom dać cośkolwiek do jedzenia, by głód ich chociaż na chwilkę zaspokoić; lecz dzieci przyzwyczajone do ptaka wolały znieść głód, i prosiły ojca, aby tego nie robił. Powstrzymał się Janek, a Bóg, jak gdyby wynagradzając dobre serce dzieci, zesłał im pomoc. W kilka godzin później zajechał do Cieplin wóz królewski naładowany chlebem dla mieszkańców całej osady. Odtąd co kilka dni przywożono chleb dla zgłodniałych. Chleb ten był darem króla. Dobry Bolesław, chociaż sam w dostatkach, nie zapomniał o swych dzieciach cierpiących głód. Na wiosnę zaś przysłał król jęczmienia i grochu w ziarnie do obsiania zaniedbanych pól.

Tak przetrwała rodzina Janka czasy głodu, a gdyby nie to że, matka rodziny, żona ze słabości nie wyszła, byłby Płużek zadowolnionym. Lecz żona co raz mocniej słabła; łóżka przez cały rok nie opuszczała, wyschła, wyżółkła, aż wreszcie Bóg ją uwolnił od dalszej choroby zabierając duszę jej do swej chwały.

Biedny Janek stracił ukochaną żonę, dzieci najdroższą matkę, a cała rodzina pocieszycielkę w nieszczęściu; — bo żona Janka nie rozpaczała wśród największej nędzy. W czasie owego głodu, chociaż sama chora i słaba, dodawała innym otuchy. Sama nie jadła, a umiała wyszukać dla dzieci kęs chleba, słowa nadziei i pociechy dla męża. Nie dziw, że teraz po śmierci żony, Janek nadzwyczaj posmutniał, że się nie mógł w żalu utulić. Szukał pociechy w pracy, i w rzeczy samej dopokąd pracował lżej mu było na sercu, lecz skoro zamyślony stanął nad pługiem, smutek powracał. Jedynie rozrywały go wiara w dobroć Boga, i pieszczoty dzieci.

Najstarsza z córek, czternastoletnia Jagna, krzątała się jak mogła, radaby ojcu każde życzenie z ust wypatrzeć, pracowała prawie nad młode swe siły; bo i parzyła się przy kominie i piastowała młodsze dzieci, przędła na kołowrotku i pełła w ogrodzie i szyła koszulki — przez cały dzień zwijała się jak mrówka, lecz czyż czternastoletnie dziewczę podoła ciężkiej pracy nad całą rodziną, w której troje najmłodszych dzieci zaledwie chodziło? czyż dzieciom tym może zastąpić miejsce matki?

Widział to Janek i dla tego w rok po śmierci Hanusi ożenił się po raz drugi. Weselny obrzęd rozegnał na krótki czas smutek, co od śmierci starego Wojciecha osiadł w chatce Jankowej, lecz tylko na krótki czas, bo niezadługo przekonał się Janek że druga żona ani dla dzieci dobrą matką nie będzie, ani też nie zastąpi pierwszej w gospodarstwie. Po kilku tygodniach rozpoczęły się swary. Płużek w czem mógł ustępował żonie, bo pragnął spokoju, lecz któż dogodzi swarliwej kobiecie? — Że druga żona Janka nie była najlepszą kobietą przekonamy się z dalszego opowiadania.

V.

Niespodziewane zdarzenie.

W kilka miesięcy przejeżdżał przez Ciepliny — jak sobie kochani czytelnicy przypominacie, tak się nazywała osada, w której nasz Jan Płużek mieszkał — pewien pan z małym chłopczykiem. Zatrzymał się przed chatą Janka, prosząc gospodarza o gościnę, bo w owe czasy nie było jeszcze karczm, gdyż i wódki djabeł jeszcze wtedy nie wymyślił; a kto jechał w drogę, woził wszystko, co mu było potrzebnem ze so-

bą, by gdzie w lesie spocząć i pożywić się. Wsie i miasta nie były jak dzisiaj, i nieraz dzień cały można było jechać, nim się spotkało człowieka. Jeżeli się zaś przypadkiem trafiła gdziekolwiek po drodze jaka osada, to podróżny, nie pytając się wiele, kto w niej mieszkał, prosił o gościnę. Przodkowie nasi których było przysłowiem: „gość w dom, Bóg w dom", cieszyli się nieznajomemu gościowi, raczyli go czem chata była bogata; to też i nasz Janek chętnie poprosił nieznajomego gościa w swój ubogi domek.

— Bóg zapłać, — rzekl nieznajomy zsiadając z wózka, — za gościnę, proszę prowadźcie Czesia do izby, ja tymczasem z końmi się uładzę.

— Coś niecierpliwe wasze konie, zaczekajcie chwilkę, to wam dopomogę, — mówił Janek, a nieznajomy odrzekł:

— Robactwo i muchy obsiadły biedne szkapiny, ssają z nich krew, nie dziw, że się niecierpliwią, rzucają się na wszystkie strony.

To mówiąc zaczął odprzęgać — schylił się, by lejcowemu koniowi odwiązać z barczyka postronek, gdy zniecierpliwiony koń uderzył go w samo skronie. Nieznajomy krzyknął i padł na ziemię. Na krzyk ten wybiegł Janek i maleńki Czesio, żona Janka i dzieci biegnąc na ratunek, lecz napróżno — nieznajomy już nie żył, a niecierpliwe konie przelęknione pobiegły w daleki świat. Pozostał tylko trup nieznajomego i maleńki Czesław, który na zapytania Janka czyli ów nieznajomy był jego ojcem, zaledwie umiał odpowiedzieć, zanosząc się od płaczu:

— To nie tatka, to nasz Wawrzyn. Tatko jechał na wojnę, a Wawrzyn wiózł mnie do cioci. — Nazwiska ojca lub wsi nie mógł Czesławek oznaczyć, rzeczy zaś wszystkie, po których może by można było poznać właściciela, spłoszone konie z sobą uniosły.

Pobożny Janek pogrzebał nieznajomego, a Czesława u siebie zatrzymał. To było powodem ustawicznych skarg drugiej żony, która gniewała się o to i przy każdej sposobności robiła mężowi wyrzuty, że przyjmuje obce dzieci w swój dom.

— Oddaj tego znajdę innym, bogatszym od ciebie, co mogą żywić obcych, my i tak mamy dosyć dzieciaków po Hanusi, nie potrzebujemy więcej, a to jeszcze jakieś pańskie dziecko, z tego ani wyręczenia nie będzie; — mówiła nieludzko żona, a Janek jej odpowiadal:

— Wszystko jedno czy pańskie, czy chłopskie dziecko, wszyscy od jednego ojca Adama pochodzimy. Pan czy chłop równi są przed Bogiem, a na ziemi równy zasługują szacunek jeżeli tylko pełnią swe powinności. To też dziecię żołnierza, co walczy za swój kraj u mnie zostanie i dopókąd się ojciec nie znajdzie, zatrzymam je a nie oddam w obce ręce.

Napróżno starała się żona nakłonić Janka, aby Czesława dał któremu z sąsiadów. Od tego czasu nie było spokojnego dnia — codziennie nową przyczynę kłótni znalazła swarliwa kobieta. Zgodny Janek ustępował jej z drogi ile mógł, lecz nic to nie pomogło, mały Czesio był zawsze dla niej solą w oku, chociaż naprawdę nie mogła się na niego skarżyć, bo łagodny chłopczyna robił wszystko co mu kazano jak najspokojniej. Dzieci Jankowe mocno też polubiły małego Czesława, którego zawsze nazywały paniczem.

Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CYGANKA.

(Ciąg dalszy.)

Dnia tego kiedy się rozpoczyna nasza powieść, jak tylko Wojtek zobaczył ogień na ko minie, nie namyślając się, powstał ze swojego twardego posłania, przeciągał podrętwiałe od zimna członki przeżegnawszy się, ukląkł pobożnie przed obrazem Matki Bozkiej Częstochowskiej, krótkie ale szczere zaniósł do Niej prośby o błogosławieństwo na dzień cały. Powstawszy poszedł rzucić trochę paszy jedynej szkapinie, która mu pozostała z całego niegdyś licznego dobytku.

Mróz jeszcze większy zaczął się wysadzać na dzień, a tu drzewa w chałupie nie było ani jednego polana, do lasu było ze ćwierć mili, w którym wolna była zbieranina, wyładował więc sanczyny jakie mu jeszcze pozostały i zaprzągłszy jedyną szkapinę do nich, nie czekając nawet na śniadanie, założył siekierę za pas i już miał wychodzić, kiedy jego kobieta podała mu torbę — a w nią włożyła spory kawał kiełbasy, pół serka i porządną pajdykę chleba.

Wojtek zdziwiony spojrzał na to, niedowierzająco poruszył głową — potem popatrzywszy w oczy swej Kaśce rzekł:

— A zkądżeś to wzięła moja Kasiu, boświa to już od dawna odwykli od tych rarytasów, nie kupiłaś pewno, bo nie było ani grosza w chałupie nawet na sól?

— Juścić bogać tam kupiłam, mój Wojciechu, alem wczoraj odniosła uprzędzone parę łokci przędzy cienkiej młynarce, chciała mi płacić, ale ja zobaczywszy, że zabili wieprza, a przypomniawszy sobie, że ty chudziaku już od tylu tygodni nie widziałeś kawałka mięsa, a przecież na nas wszystkich pracujesz; wzięłam to dla ciebie, mój miły, żebyś się choć trochę poraczył, boć to ty jesteś nasza podpora — a za parę groszy kupiłam ci kwaterczynę gorzałki, żebyś się miał czem rozgrzać jak pojedziesz do boru.

Wojtek spojrzał tylko rozczulony na Kaśkę i przycisnąwszy ją do siebie rzekł:

— Bóg ci zapłać moja poczciwa duszo, ale ja się potrafię obejść i kawałkiem suchego chleba, lepiej zostaw to w chałupie dla dzieciaków i siebie, ja to już tam wytrzymalszy na te wszystkie biedy!

— Ale mój Wojtusiu! moje dziecko — mówiła Kaśka — już ja tu dla nich zostawiła, już, już — a ty bierz to i zjedz z Bogiem, ty na nas pracujesz, a my byśmy mieli zjadać za ciebie!

— No chyba że tak, kiedyś zostawiła dlą siebie i dzieci, toć ja to wezmę, a Bogiem i prawdą — to się zje ze smakiem, bo to już będzie podobno z pół roku, bo od samej Wielkiej Nocy, jak nie widziałem kawałeczka mięsa.

— I to mówiąc, Wojciech jeszcze raz pocałował swoję kobietę, przeżegnał się, torbę zarzucił na plecy i założywszy szkapę do sanek, chuściną podwiązawszy uszy, poprowadził ją ku lasowi.

— Sanna była wyborna, że sanki same prawie się ślizgały, ale droga taka była olodziała, że biedne zwierzę często bardzo nie mogło się utrzymać na nogach, a za każdem pośliznięciem, Wojciecha przechodziło mrowie od stóp do głowy, a nuż upadnie, a nuż się rozcochnie! i w jednej chwili straci wszystko co mu jeszcze srogi los zostawił. Ale nad biednemi czuwa zawsze pełne dobroci Opatrzności oko — po godzinie więcej jazdy, zorza zaczęła się rumienieć na niebie i słońce jaskrawe, złociste, zwyczajnie jak na mróz jeszcze większy, zaświeciło po nad lasem, ale nie długo zakryły je tumany niesionego śniegu, a mróz coraz większy ściskał.

D. c. n.

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

— Co ja chcę powiedzieć? To tylko, o czem już wszyscy wiedzą, o czem cały Berlin gada.

— Honorem ręczę, że nic nie wiem o co idzie.

— Jakto? to pan nie wiesz, co wszystkim wiadomo, o czem już cały Berlin wie, że się pan starasz o rękę panny Wilhelminy?

— Co ja?

— Tak jest, pan. Wszak widocznie czynisz, co możesz, by zbliżyć do rodziców i ich córki, i żeby im się przypodobać. Jesteś człowiekiem ze wszech miar godnym i uczciwym, i to ci toruje drogę; mieszkasz pod jednym z nią dachem, przyjmujesz po trosze nasze obyczaje, ubierasz się po naszemu....

— Ale bo inaczej nie mogę; czynię to tylko na wyraźne żądanie Pana Sztolcego.

— Panie Berdysz, na co mi to ukrywać? i tak już cały świat widzi, z czego się rodzice cieszą, z czego się sama panna Wilhelmina szczyci! Przyznam się Panu otwarcie, żeś mnie uprzedził. Przeklęty wielbłąd popsuł mi szyki, bobym był inaczej panu tak łatwo nie ustąpił. Ale co robić? Obaj się żenić nie możemy, życzę więc panu szczęścia. Mówiłem sam o tem z rodzicami, i od nich właśnie do ciebie idę. Dadzą posagu najmniej trzydzieści tysięcy talarów, a po ich śmierci cały majątek spadnie na ciebie. Cóż chcesz? wszakże to prześliczny interes? Rzuć książki, lepiej gotuj się na zaręczyny.

— Wszystko idzie jak najlepiej — mówił dalej, — jeden tylko, jak słyszę, kładą warunek rodzice, ale i ten ładwo da się wykonać, zwłaszcza że jesteś człowiekiem rozsądnym, i nie przywięzujesz wielkiej wagi do lada chłopskich zabobonów. Ale o tem potem. Rozważ tę rzecz, a ja życzę ci wszelkiej pomyślności. Tylko odważnie, a ładna żoneczka i talarki będą twoje! No, tymczasem bywaj zdrów, a zapraszam się na wesele.

To powiedziawszy, pan Kurcer opuścił Kazimierza.

Jakby gromem rażony pozostał Berdysz. Nie wiedział czemu się miał więcej dziwić, bezczelności zalotnika, czy słów jego treści. Nie pojmował, jak człowiek co przed niedawnym jeszcze czasem ubiegał się o rękę dziewczyny, dziś z taką obojętnością, lekceważeniem prawie mógł jej odstępować drugiemu, — nie pojmował zarazem, co pana Kurcera mogło było ośmielić do tego, żeby jemu właśnie prawić podobne rzeczy.

Przywołał sobie na pamięć całe swoje postępowanie z domem państwa Sztolców i różne okoliczności z czasu pobytu swego w ich domu, i teraz dopiero zrozumiał poufałość panny Wilhelminy, jej prośbę przed oną przejażdżką ów krzyk, kiedy padał pod konie, jej troskliwość, list do domu, podarunki — wszystko jasno stanęło teraz przed jego oczyma. Przypomniał sobie i własne nierozważne słowa o służbie całego życia, które sobie Wilhelmina zupełnie ina-

czej tłómaczyła, aniżeli on sam myślał, przypomniał sobie błogosławieństwo jej matki i nazwę syna, i onę pierwszą wycieczkę w świat boży w ich towarzystwie, i poznał, że mimowoli nie chcąc i nie wiedząc o tem, zaprzedał swe serce. — I komu zaprzedał? szlachetnej, wprawdzie i przywiązanej do niego dziewczynie, ale nie rozumiejącej mowy jego siostry, nie modlącej się jak ona do Panny Najświętszej — bogatej wychowanej jak księżna. Czyżby mógł swej poczciwej matce, swemu staremu ojcu taką synową przywieść do chaty?! Nie, nigdy! pomyślał. — Ale kto wie jeszcze, czy słowa Kurcera nie były tylko fałszem, może szyderstwem, może przechwałkami człowieka, co będąc pewnym zdobyczy mniemanego współzawodnika swego jakby na drwiny nią częstował? — i zapewne tak będzie, myślał sobie, a nie inaczej. Pan Sztolce, znam go, nigdyby na taki związek nie zezwolił. Wszakżem ja chudy pachołek, a on lubi grosze, bo mnie nawet choremu przypomniał, że on jest panem mego rozumu i mej pracy. Więc najlepiej będzie, że odtąd o ile się da, unikać będę wszystkiego, coby ich utwierdzić mogło w mniemaniu, że się staram o rękę panny Wilhelminy.

Tak myślał i rozumował Kazimierz, lecz niepodobna mu było zupełnie odłączyć się od pożycia z rodziną Sztolców. Mieszkając z nimi pod jednym dachem, jedząc z nimi u jednego stołu, codzień z nimi kilka razy się schodził. I spostrzegł, jak matka, a nawet i ojciec jawnie prawie do coraz bliższej poufałości go przypuszczali, jak panna Wilhelmina wcale już nie ukrywała przed ludźmi, że jej serce do Kazimierza należy, jak mu wszyscy prawili rzeczy, które go tylko w coraz to większy kłopot wprawiały.

Ażeby więc raz na zawsze wszelkim domysłom tamę położyć, ażeby rodziców z fałszywej drogi sprowadzić, postanowił Kazimierz przy pierwszej lepszej sposobności rozmówić się z panem Sztolcem, otworzyć mu oczy, i całą prawdę powiedzieć, że to czego od pana Kurcera się był dowiedział, żadnej a żadnej podstawy nie miało. W tym celu udał się do księdza Marka, aby zasięgnąć jego rady przyjacielskiej.

Ksiądz Marek pochwalił jego postanowienie, tylko mu zalecił, aby swoje oświadczenie uczynił w sposób oględny, tak iżby pan Sztolce obrażony nie odjął mu jego korzystnej a dla rodziców prawie koniecznej posady.

I z tem postanowieniem wracał Kazimierz do domu po drodze tymczasem inne mu znowu do głowy zakołatały myśli.

— Dobrze radzić księdzu Markowi, — pomyślał sobie, — kiedy on nie chorował w ich domu, nie był pielęgnowany jej ręką, nie zawdzięcza jej zdrowia, nie poczuł jej przyjaznej dłoni nad znużonem swem czołem, nie słyszał od niej jak ja, że umrzeć dla mnie gotowa. I jabym miał zawieść jej uczucia, miał zranić jej serce? Nigdy! wszystko poświęcę a nie ustąpię — Rodzice przebaczą, gdy się nauczy po polsku, gdy posag wniesie do domu zabezpieczający im na zawsze starość spokojną. — Ale czy ona nas zrozumie? czy zechce pójść do Polski, czy przyjmie moję wiarę? Czy znowu pan Sztolce nie oddali mnie z domu, jeżeli ufność jego córki zawiodę? A moi biedni rodzice? — Jednak przeniosę śmierć nad takie związki...

Tak bijąc się z myślami, szedł dalej nie zważając na przechodzących, gdy w tem poczuł, że go ktoś pod rękę uchwycił.

Obejrzał się, — był to pan Kurcer.

— Jakto? zawołał tenże, pan tak zamyślony idziesz: że ledwo swoich znajomych poznajesz? No! nie dziwota, kto zakochany, to zadumany! Jakże, czy już po oświadczeniu?

Widok tego człowieka żywo poruszył Kazimierza; więc sucho mu odrzekł:

— Ani myślę.

— Figlarz z pana! zagadnął go znowu pan Kurcer. Boisz się pan? Głupstwo! Odwaga, to grunt w takich interesach, a wszystko będzie dobrze. Jeśli pan chcesz to powiem ci, jaki to warunek stawiają rodzice!

Kazimierz zniecierpliwiony jego natręctwem wyrwał mu rękę i rzekł:

— Dziękuję panu! Nie potrzebuję żadnego warunku, — i poszedł sobie dalej.

Pan Kurcer stał zdziwiony i myślał sobie: Widać przebiegły to lis! Widocznie już na wszystko przystaje, tylko zdradzić się nie chce.

Kazimierz w największem rozdraźnieniu wrócił do swego mieszkania, a tu zastał list leżący na stoliku. Poznał pismo księdza Wojciecha; skwapliwie je rozpieczętował i wyczytał co następuje:

Kochany Kazimierzu!

Niedoścignione są drogi Opatrzności! Przygotuj się na okropną wiadomość, którą ci donoszę. Wczoraj w nocy wybuchł ogień u Twoich rodziców. Pomimo szybkiej pomocy i wszelkiego ratunku pożar wzmógł się przy wielkiej burzy, zniszczył do szczętu i dom i wszystkie zabudowania gospodarskie razem z inwentarzem. Rodzice twoi nieszczęśliwi ledwo z życiem uszli. Ratuj czem możesz! a Bóg synowi za ofiary dla rodziców czynione pobłogosławi.

Ksiądz Wojciech.

Kazimierz osłupiał. Stanął jak wryty, — list z rąk upuścił, potem za chwilę zerwał się nagle, rzucił się do swojej komody, wydobył z niej sześćdziesiąt talarów — wszystko co miał u siebie, — siadł, napisał list do księdza Wojciecha, włożył weń pieniądze, i zapieczętował... Ale cóż to znaczyły te 60 talarów, kiedy szkoda jego rodziców kilka a może kilkanaście tysięcy złotych wynosiła! Te 60 talarów ledwie że mogły wystarczyć na pierwsze najkonieczniejsze potrzeby, na niezbędne odzienie, na najęcie gdzie jakiego szczupłego mieszkania, na łyżkę strawy.... i nic więcej! Nic na posag biednej siostry, nic na podniesienie domu, nic na pobudowanie stajni, stodół, zasiek i innych gospodarskich budynków! Te sześćdziesiąt talarów były niczem, zkąd tu wziąść więcej pieniędzy?

I zadumał się biedny Kazimierz,... patrzał na swój list, i stał długo nieruchomy, blady, a usta mu drgały i zsiniały, a oczy w list wlepione słupem mu stanęły. Ktoby go był w tym stanie widział, sądziłby, że to trup stoi. Ach! bo okropna toczyła się w jego piersiach walka. Po chwili przyszedł do siebie, westchnął, głęboko, zerwał się i wybiegł na ulicę. Pobiegł najprzód na pocztę, aby list oddać, a potem pędził do domu pana Kurcera. Zastał go samego, a ledwo przywitawszy się, drżącym zapytał głosem:

— Jaki to warunek kładą państwo Sztolcowie, bym został ich zięciem?

— Aha! warunek? ot bagatela, — odrzekł pan Kurcer. — Ale pan jesteś mocno zmieniony, blady,... co panu jest? No!... no... uspokój się, panna Wilhelmina będzie twoją żoną,... tylko powoli, nie tak zapalczywie!...

— Ale warunek!... warunek!... na miłość Bozką mów pan!

— Ot, bagatela! obstają zatem, abyś pan wyrzekł się swojej wiary i został Lutrem.

— Co co pan mówisz? — w największem uniesieniu zawołał Kazimierz, — ja wyrzec się mam swej wiary?

— Tak jest, odparł zimno i z szyderczem uśmiechem pan Kurcer, tego jedynie żądają, a o ile ich znam, nie odstąpią od tego.

Zachwiały się nogi pod Kazimierzem, ledwie zdołał wyjść na ulicę. Widział przed sobą nieszczęście, jakie nad nim i nad jego domem zawisło; czuł, że temu nieszczęściu mógłby zaradzić, lecz zbyt straszny był środek do ocalenia się, gorszy od samego nieszczęścia. I szedł sam nie wiedząc dokąd; potrącali go przechodnie, a on tego nie czuł, w głowie mu szumiało... i tak biegł dalej i dalej bez celu, aż spostrzegł się, że wyszedł był za miasto. Tu sobie przypomniał, że powinien był o tej porze pracować w zakładzie, więc wracał powoli ku domowi. Chciał już z siebie zrobić ofiarę dla rodziców, poświęcić się dla nich, chciał się ożenić z Niemką i Luterką, aby swoich wydobyć z nędzy; chciał kochającą go dziewczynę ofiarą własnego serca uszczęśliwić, — ale nie spodziewał się, aby tak oburzający postanowiono mu warunek. I przypomniał sobie co mu ojciec mówił owego ostatniego wieczora pod lipami:

— Jeśliby tobą kiedy świat zachwiał, wspomnij sobie na bliznę mego oblicza, na tę lipę starą przedziurawioną kulą najezdnika.

— Ach ojcze! zawołał sobie, tyś życie swoje narażał w obronie ojczyzny i wiary świętej, a jabym tę ojczyznę i wiarę świętą miał zaprzedawać za marny pieniądz? Czybym przez to nie zasłużył sobie na twoje przekleństwo?

Zaiste ogromny ciężar zwalił się na serce biednego Kazimierza: rodzice jego znikąd inąd, jak tylko od niego mogli się spodziewać i mieli prawo spodziewać się pomocy; i widział ich przed sobą bardzo, bardzo biednych: widział matkę z dziećmi płaczącą, ojca pod ciężarem nieszczęścia upadającego, a nie mógł im pomódz, chyba z utratą czci i wiecznego zbawienia! Zaiste straszne to było położenie, okropny stan Kazimierza!

Przyszedłszy do kantoru, pracował mechanicznie, pisał i rachował, cyfry i litery mięszały się przed jego oczyma, ani nie zajrzał do pań-

stwa Sztolców. Wieczorem przyszedł do swego pomieszkania, ale i tu nie miał spokoju; wyszedł więc na ulicę, biegał po mieście, znękany powrócił do domu. Rzucił się ubrany na łóżko... i zasnął.

XIV.

Anioł Pański.

Ale sen jego był niespokojny i mało go pokrzepił; bo jak na jawie dusza jego miotana sprzecznemi uczuciami ciężką odbywała walkę, tak też i we śnie walka ta nie ustawała; duch jego wzburzony nie mógł się uspokoić, i strasznemi przez całą noc trwożył go obrazami. Zdawało mu się we śnie, że wracał do rodziców, i kiedy już blizko był ich mieszkania, spostrzegł nagle, jak pożar ogarniał ich dom i wszystkie budynki. Chciał wołać o pomoc, ale głosu z piersi nie mógł dobyć, — chciał sam ogień zalewać, ale kropli wody znaleść nie mógł, — biegł do Wisły, a i Wisła była wyschła. Przypada napowrót do miejsca pożaru, ale już wszystko było spłonęło; ojca tylko i matkę wynędznionych i łachmanami okrytych, stojących z załamanemi rękoma na dymiących jeszcze zgliszczach. Chce do nich przyskoczyć, ale w tem ojciec tak groźnie spojrzał na niego, że stanął jakby do ziemi przykuty i z miejsca ruszyć się nie mógł. Na wskroś przeniknięty widokiem znędznionych rodziców, a więcej jeszcze groźną ojca postawą, pada na kolana, oczy dłońmi zakrywa i woła:

— Ojcze mój, cóżem ci takiego uczynił, żeś tak na mnie zagniewany? Wszak chciałem cię ratować, ale nie było sposobu!

Ojciec milczał chwilkę, potem odwracając się od niego, ponurym rzekł głosem:

— Wyrodek — i westchnął ciężko.

Poczem jakby lekki obłoczek podesłał mu się pod nogi i unosił go ku górze. Kazimierz w rozpaczy zerwał się, wyciągnął ręce ku niemu i zawołał:

— Ojcze nie opuszczaj mnie w takim gniewie! Powiedz, czego chcesz odemnie?

Na te słowa piorun z grzmotem wypadł z chmurki między zgliszcze, zamącił żarem, iskry prysnęły na wszystkie strony, a wśród tego grzmotu i tego zamięszania dosłyszał Kazimierz słowa ojca, który groźnym głosem mu odpowiedział:

— Wiary ojców twoich!

Na te słowa przebudził się Kazimierz, zerwał się z łóżka, i na wpół senny powtórzył te słowa:

— Wiary ojców twoich.

Przetarł oczy, spojrzał na około siebie i przekonał się, że to wszystko było snem; ale podumawszy chwilkę, westchnął sobie i rzekł:

— Był to sen ale i nie sen!

I zaczął porównywać wszystkie okoliczności swego snu ze smutną rzeczywistością, i tłumaczyć sobie jego znaczenie. Widział rodziców pogorzałych, w nędzy okropnej, w łachmanach, a znikąd pomocy nie mieli, jak tylko od niego; on ich musiał, on powinien był ratować.

— O Boże! pomyślał sobie może oni rzeczywiście nie mają nawet dobrego odzienia, a tu już rankiem szrony bywają, już deszcze nastały; może nie mają przy czem się ogrzać, może razem z dziećmi skuleni i zgłodniali siedzą przy obcym stole i ognisku! Trzeba ich ratować na wszelki sposób.

Lecz cóż mógł znaczyć ten głos ojca wśród błyskawic i piorunów żądający odemnie wiary ojców moich? To pewno tylko senne złudzenie! Rodzice w oczywistem nieszczęściu, w naglącej potrzebie, której koniecznie zapobiedz trzeba, choćby to i zbawienie duszy mej miało kosztować! Rodzice czekać nie mogą!

Niebaczny Kazimierz! Do jakiego bluźnierstwa popychała go rozpacz! Uniesiony chwalebną zresztą miłością ku rodzicom, zapomniał o tem, co Pan Jezus powiedział:

— Jeżeli kto ojca albo matkę kocha więcej nademnie, nie jest mnie godzien, — zapominał, że i dla najświętszej sprawy nie godzi się nigdy grzechu popełniać, a tem mniej wiary się swojej wypierać! Ten głos ojca we śnie był to głos jego sumienia, był to głos Boga!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Teraz począł się Lincoln przysposabiać do napaści na stan South Carolina. Mając 2000 regularnego wojska i oddział z torysów i Creek-Indyan złożony, udał się w drogę ku Charleston; Clinton zaś doprowadziwszy swą armię znów na 5000 ludzi, postanowił zająć miasto Augusta i oczyścić Georgię z nieprzyjaciół, lecz dowiedziawszy się o wymarszu Prevosta, zmienił swój plan i udał się za nim. W dniu 11 maja przybył Prevost przed okopy miasta i zażądał poddania się; gdy to nie nastąpiło przygotowywały się obie strony do walki. Lecz jakież było zadziwienie obywateli, gdy z rana nie było przed miastem żadnego nieprzyjaciela. Dowódzca angielski bowiem słysząc, że Clinton się przybliża, cofnął się, obawiając się aby mu tenże nie odciął drogi do Savannah, i wrócił się następnie do tego miasta.

Angielski jen. Henry Clinton w New Yorku zaczepił tymczasem Amerykanów (w armii amerykańskiej był także jen. Clinton, o którym co dopiero wspominaliśmy,) gdzie tylko mógł i niszczył osady nad wybrzeżem morskiem. Gubernator Tryon zaś uderzył na jen. Putnam w dniu 20 marca i rozbiwszy jego oddział, zabrał wiele zasobów; Putnam zaś zebrawszy w tym samym dniu jeszcze rozbitki, napadł na Anglików, odjął im całą zdobycz i wziął 38 w niewolę.

Clinton zabrał później Amerykanom Stony Point i Verplanck Point nad Hudson rzeką (31 maja i 1 czerwca). Gubernator Tryon zaś i Collier niszczyli i palili wszystkie miasteczka nad brzegiem stanu Connecticut, pomiędzy innemi spalili miasto Norwalk.

Tymczasem przygotowywali się Amerykanie na odwet. W nocy z 15 na 16 lipca 1779 zajął jen. Anthony Wayne niedawno temu przez Anglików zdobytą warownię Stony Point, do której się był tak tajemnie przybliżył, że Anglicy spostrzegli Amerykanów dopiero wtenczas, gdy ci już byli na wałach. Anglicy utracili 600 ludzi, Amerykanie mieli 15 zabitych i 83 rannych. W dniu 19 sierpnia o trzeciej w nocy uderzył major Lee na załogę angielską w Paulus Hook (dzisiaj Jersey City), gdzie padło 30 Anglików a 160 zostało wziętych w niewolę. Czyny te odważne dodawały Amerykanom otuchy, która się atoli wnet w smutek zamieniła: flota angielska bowiem zniszczyła 40 okrętów na Penobscott rzece w Massachusetts.

Na zachodniej granicy dawali się wciąż jeszcze w znaki Indyanie. Przeciwko tym utworzyły się oddziały wolontaryuszów, na których czele stał Daniel Boone, który ich gromił w Kentucky, a Clark w Ohio i Indiana. Wolontaryusze ci napadali także na twierdze i pograniczne obozy Anglików w Indiana i Illinois. I tak zajęli Kaskaskia, Cahokia i nareszcie znaczniejszą twierdzę Vincennes, którą Anglicy odebrali napowrót w styczniu 1779. Clarke był wtenczas w Illinois. Bez wahania udał się na czele swej garstki w drogę i odbił fortecę tę w dniu 20 lutego.

Wskutek rzezi w Wyoming dolinie i nad rzeką Susquehanna, o których powyżej wspominaliśmy. wzburzył się cały lud i jen. Sullivan został wysłany dla ukarania i uśmierzenia „sześciu narodów". Połączywszy się z jen. James Clinton, rozbił znaczny oddział Indyan w Cheming, dziś Elmira, udał się aż do rzeki Genesee i zburzył w przeciągu trzech tygodni przeszło 30 wsi indyańskich, i zniszczył wszystkie pola, sady, śpichlerze itp., Indyan zaś zagnał do lasów. Był to wielki cios dla nich, z którego tak prędko się nie podnieśli, lecz którego nigdy nie zapomnieli.

Gdy to się działo w północnej części stanów, przysposabiał się jen. Lincoln do ataku na miasto Savannah. Pomagać miał mu w tem przedsięwzięciu d'Estaing admirał francuzkiej floty, który poprzednio był pobił flotę angielską pod Byron. W dniu 23 września rozpoczęło się oblężenie. Za radą d'Estaing'a przypuszczono szturm do miasta w dniu 9 października. Już padło przeszło 1000 Francuzów i Amerykanów, już powiewały niektóre chorągwie amerykańskie na wałach, gdy nagle d'Estaing się cofnął, co i Amerykanie musieli następnie uczynić. Pomiędzy rannymi był także jen. Kazimierz Pułaski. Nieudanie się szturmu odjęło obywatelom Georgii wszelką nadzieję iż staną się wolnymi.

Po ukończeniu wyprawy Sullivan'a przeciw Indyanom z plemienia Seneca nie wydarzyło się nic nowego, wyjąwszy że Anglicy opuścili Rhode Island. Lafayette bowiem był w tym roku w Francyi i nakłonił rząd francuzki do wysłania drugiej floty i znacznej liczby żołnierzy. Clinton usłyszawszy o tem opuścił Rhode Island i udał się do stanów karolinskich.

Anglii nie powodziło się w r. 1779, gdyż musiała prowadzić wojnę nie tylko przeciw Amerykanom, ale i przeciw Francuzom i Hiszpanom, którzy jej bardzo wiele na morzu szkodzili.

ROZDZIAŁ VI.

Szósty rok wojny o niepodległość (1780).

Jen. Clinton opuszczając New York pozostawił tam jen. Knyphausen. — Washington posłał także na początku 1780 jenerała de Kalb i innych do Carolinów. — Siły amerykańskie i angielskie na północy były tak słabe, że tam prawie żadne nie zachodziły operacye wojskowe w 1780 r. Oba stany karolińskie były głównem polem walki.

W dniu 11 lutego wylądował Clinton w pobliżu Charleston, lecz zamiast uderzyć natychmiast na miasto, przysposabiał się na regularne oblężenie. Lincoln, który już chciał opuścić miasto, usłyszawszy o zamiarach angielskiego jenerała, postanowił pozostać i począł wzmacniać swe stanowiska i twierdze.

Oblężenie trwało czterdzieści dni. W dniu 9 maja zażądał Clinton po trzeci raz poddania się miasta, lecz załoga odmówiła. 200 armat ziewało ogniem na nieszczęśliwe miasto, które się poczęło palić w 6 lub 7 miejscach. W dniu 12-go Lincoln widząc, że nie ma już rady, poddał się. Anglicy zabrali 600 jeńców i 400 armat.

Clinton, któremu poprzednio był przyszedł na pomoc Cornwallis w 3000 ludzi, rozdzielił swą armię na trzy oddziały; z korpusem, który przy sobie zatrzymał, udał się do New Yorku, gdyż sądził, że cały już kraj zupełnie podbitym został, wysławszy inne oddziały w trzech różnych kierunkach w głąb kraju.

Straszliwym także ciosem dla patryotów było zniszczenie całego prawie oddziału pułkownika Abrahama Bufford, który dążył Lincolnowi na pomoc, lecz usłyszawszy o poddaniu się tegoż jenerała, zwrócił się do północnej Caroliny. Miał tylko 400 piechoty, mały oddział konnicy i 2 polne armaty. Jen. Cornwallis wysłał za nim pułkownika Tarleton z 700 konnicy i oddziałem piechoty, któremu także dano konie. Tarleton przebywszy 105 mil w 54 godzinach, dogonił Bufforda w Waxhaw, otoczył go swym oddziałem zupełnie, nim ten spostrzegł niebezpieczeństwo, i zażądał, aby się poddał. Gdy jeszcze rokowania toczyły się i Amerykanie mieli broń swą ustawioną w kozły, uderzył Tarleton z konnicą na bezbronnych i w okamgnieniu zostało 113 zabitych, 150 tak pokaleczonych, iż nie można ich było transportować, a 35 wziętych w niewolę. Czyn ten wywołał nawet wzburzenie pomiędzy liberalnymi Anglikami.

Baron Kalb przybył na południową granicę południowej Caroliny w środku lata i nie zastał w tych stronach ani jednego Amerykanina pod bronią. Kongres posłał tam jen. Gates, dla którego kiepskie się otwierały widoki: armia nieliczna, kasa bez pieniędzy, mało patryotycznego uczucia u komisarzy wojennych, niezdrowy klimat, mało odwagi u republikanów, bandy lojalistów w każdym kierunku i zwycięzki nieprzyjaciel, który swemi hordami zalał cały kraj. Gates jednakowoż nie utracił odwagi; pozostawiwszy De Kalba nad granicą, wkroczył do południowej Caroliny. Ludność usłyszawszy, że zwycięzca Bourgoyna idzie, nabrał otuchy, i począł tworzyć oddziały mniejsze, pod takimi dowódzcami, jakimi byli: Sumter, Marion, Pickens i Clarke, którzy zaczepiając tu i owdzie torysów, rażąc i inne mniejsze oddziały angielskie, torowali armii Gatesa drogę.

(Dalszy ciąg nastąpi).